

PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie 5 marek (za odnoszenie do domu dopłaca się 25 fenig. kwartalnie), z przesyłką pocztową kwartalnie 6 marek

OGŁOSZENIA: wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście 2½ mark.; na 1 stronie okładki 1 mark. 50 fenig.; na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem 75 fenig.; na 3-ej stronie okładki 65 fenig. Kronika towarzyska, Nekrologi, Nadesłane po 1 mark. 90 fen. za wiersz. Marginesy: na 1-ej stronie 25 m., przy Nadesłanych 20 m.; na ostatniej stronie 17 m. 50 fenig. i wewnątrz 15 marek. Artykuły reklamowe 437 marek 50 fenigów za stronę.

Załączniki zwykłe po 25 marek od tysiąca.

Adres Redakcyi: WARSZAWA, SZPITALNA 12,
Administracyi: Krakowskie - Przedmieście 66.
FILIA W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłoszeń
„PROMIEN”, Piotrkowska Nr 81.

ŚWIAT

Rok XII. № 45 z dnia 10 listopada 1917

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Pod kierownictwem naczelnem Stefana Krzywoszewskiego.



Franc. Tow. Ubezpieczeń na Życie

„L'URBAINE”

Ugił na wyp. niezł. do pracy
Filia dla Kr. P. Marszałk. 136

9967 Oddział miejski: ulica Moniuszki Nr. 2.
Biuro Kijowskie: Kijów, ulica Kreszotałk Nr. 45.
Wilno, róg Ś-to Jerskiej i Kazańskiej Nr. 9.

Jana Majorkłowicza (182 -- 1847)

Życiorys wydany w 70 letnią rocznicę śmierci znajduje się na składzie, księgarnia Gebethnera i Wolffa, egzemplarz 2 złp. 10379

Pijcie tylko **KOFFONELLI**

Dostać można wszędzie.
Wyłączność firmy
„HYGIENA” Senatorska 32.

10424

PRAWO A SIŁA.

Prawo, a nie siła, rozstrzygać powinno w stosunkach międzynarodowych.

Taka jest myśl przewodnia ostatniej noty papieskiej, myśl, która służyć ma zarówno za punkt wyjścia najbliższych rokowań pokojowych, jak i za podstawę przyszłego współzycia narodów.

Myśl sama nie jest nowa.

Snuje się ona przez całe dzieje ludzkości cywilizowanej od początku ery chrześcijańskiej, zdobywając sobie powoli coraz więcej zwolenników, przenikając coraz trwalej do świadomości wszystkich narodów. Wśród okrucieństw wojen, wśród huków armat i krwi rozlewu, wśród olbrzymich fal nienawiści, które zalewały świat cywilizowany przez całe stulecia, wykuwała się powoli myśl o trwałym pokoju międzynarodowym, o współdziałaniu narodów dla celów kultury i cywilizacji, aż w tej wojnie wypłynęła ona na powierzchnię w całej swej postaci, jako konieczna podstawa przyszłych stosunków międzynarodowych.

Już dziś o trwałym, a nawet wiecznym pokoju mówią nie tylko marzyciele i intelektualiści, ale działacze parlamentarni i mężowie stanu. Więcej nawet. Już teraz żaden z nich

nie może wypowiedzieć mowy, w której by nie postawił sobie za cel osiągnięcia trwałego pokoju, oparcia przyszłego współzycia narodów na zasadach prawa i sprawiedliwości, a nie siły i gwałtu. Jak głęboko tkwić musi już dzisiaj w świadomości narodów ten cel, skoro trzeźwi mężowie stanu i politycy muszą się nań powoływać, aby zbudzić w szerokich masach wytrwałość i męstwo!

I oto wśród tytanicznych zapasów, jakich nie zna historia, z oparów krwi i łun pożarów, wyzwała się ogromna tęsknota za bratnim uściskiem. „Narody walczące, pisał niedawno Romain Rolland w jednym z pism szwajcarskich, nigdy jeszcze nie były tak siebie bliskie, jak teraz, kiedy dzierżą się w ramionach, jako zapasnicy”. Znacomity pisarz francuski ma niewątpliwie słuszną, tembardziej, że tak samo jak dziś wśród walk wykruwa się pokój wśród narodów, tak, niegdyś, wśród krwawych zapasów rodziła się jedność narodowa. Nie zbyt dawno jeszcze Burgundja walczyła z Nawarrrą, Rzym z Florencją, Mazowsze ze Śląskiem, a dziś dawni wrogowie stanowią jednolite narody.

Jeszcze w chwili wybuchu rewolucji 1789 r. Francuzi byli dalecy od

poczucia swej jedności. „Szlachta bernańska, pisze historyk francuski Aulard, oświadczała, że jest tylko sprzymierzeńcem Francji; miasta Marsylja i Arles uważały się za państwa z nią równonędne; Nawarra miała się za osobne królestwo, połączone z Francją tylko przez osobę króla i t. d... Rewolucja dopiero zmieniła te zasady... Zjednoczyła ona wszystkie te małe ojczyzny w jedną wielką ojczyznę...” (La paix future. Paryż 1915).

Tak było wszędzie, zanim w narodach zbudziło się poczucie jedności, zanim znalazło ono wyraz w zjednoczeniu państwowem.

To też i dzisiejsze krwawe zapasy rodzą pytanie, czy nie stanowią one przesilenia mienawiści międzynarodowej, czy nie otwierają one wrót do nowych form współzycia, które oprzeć się mają na zasadach prawa i sprawiedliwości, a nie na stosunkach siły, jak wojny pomiędzy częstkami narodów otwierały wrota do ich jedności.

*

Ale przypuszczenie, że ustać mogą wojny między narodami, współzycie ich oprzeć się na trwałem współdziałaniu dla celów kultury i cywilizacji spotyka się z wielu stron z nieufnością.

Narody, szczególnie sąsiadujące ze sobą, muszą się nienawidzić, twierdzi kategorycznie dr. Gustaw Le Bon. Nienawiść pomiędzy niemi, to prawo natury. (La psychologie politique, Paryż 1912).

Wieczny pokój, to marzenie i nawet nie piękne marzenie, powiedział Moltke.

Wieczny pokój, pisał w przedmowie do dzieła Edwarda Berth'a — to ekliwy ideał, będący zaprzeczeniem starożytnych wartości bohaterskich, religijnych, wojowniczych i narodo-

wych, jak i współczesnych wartości robotniczych, których dla dobra ludzkości strzedz należy. (Les méfaits des intellectuels, Paryż 1914).

Prawo i sprawiedliwość, na których oprzeć się ma współzycie narodów, mówią wreszcie, to pojęcia nieokreślone, które do niczego nikogo nie zobowiązują i nie dają zupełnej wyobrażenia o tem, jak ma wyglądać to przyspane współzycie narodów, z którego ma być usunięte rozstrzygające znaczenie siły.

Nie będziemy tu przesądzać pytań, czy zwycięży ostatecznie siła czy też prawo w stosunkach międzynarodowych, ani też, czy wojna jest konieczna, jako prawo natury, a nawet pożyteczna, jako skarbnica najszlachetniejszych pierwiastków ducha ludzkiego, a zajmiemy się tylko ostateczną z przytoczonych powyżej wątpliwości co do prawa i sprawiedliwości, jako regulatorów stosunków międzynarodowych, wątpliwości, która pragnęłaby przeobrażenia współzycia narodów, ale w nie nie wierzy. Wątpliwość ta wszakże, którą u nas słyszy się najczęściej z szeregu argumentów, wymierzonych przeciwko możliwości ustalenia „trwałego pokoju“ wśród narodów, jest wynikiem nieporozumienia.

Ludzie wyobrażają sobie, że wprowadzenie prawa i sprawiedliwości do stosunków międzynarodowych polegać ma na tem, że państwa będą szanowały wzajemnie swe zobowiązania, że nie będą obrażały praw swych bliższych lub dalszych sąsiadów we własnym interesie, że w stosunkach pomiędzy nimi będzie panowała, jednym słowem, bezwzględna zgoda, oparta jedynie na poczuciu moralnym narodów.

Takie wyobrażenie o roli prawa i sprawiedliwości w przyszłych stosunkach międzynarodowych jest zapewne nieokreślone, nie obowiązujące i mętne, ale dlatego tylko, że jest zupełnie błędne. Nabiera zaś ono zupełnie wyraźnych konturów, staje się ściśle określonym i jasnym, kiedy z dziedziny idealnej koncepcji o podniesieniu ducha ludzkiego na wyżyny czystej moralności zstąpimy na bardziej poziomy grunt konstrukcji państwowych, które liczą się nie tylko z doskonałym, ale i z bardzo niedoskonałym człowiekiem, jakim dotychczas bywa on przeważnie, i dlatego dla prawa i sprawiedliwości w stosunkach międzynarodowych żądają gwarancji, któreby zabezpieczały je od wykroczeń.

Zgodne współzycie narodów dla pozyskania tych gwarancji musi osiąść organizację, możliwość przywra-

cania w drodze przymusu prawa i sprawiedliwości, w razie ich obrazy. Wprowadzenie ich do stosunków międzynarodowych nie oznacza usunięcia z nich siły, ale oddanie jej wyłącznie na usługi prawa, a nie na usługi gwałtów, zaborów i ucisków. Zagadnienie przeobrażenia stosunków międzynarodowych w duchu prawa i sprawiedliwości jest w mniejszym stopniu zagadnieniem moralnym, niż zagadnieniem prawa międzynarodowego, to też wszystkie koncepcje tego przeobrażenia przybierały zazwyczaj formę ściśle określonych projektów organizacji współzycia narodów.

W toku wojny obecnej zarysowały się wyraźnie trzy kierunki rozwiązania omawianego przez nas zagadnienia, zresztą nie zupełnie nowe, każdy z nich bowiem w mniej lub więcej skończony postaci miał swych rzeczników w dalszej lub bliższej przeszłości. Pierwszy z tych kierunków popiera myśl federacji narodów, skupienia ich w jednym olbrzymim nad-państwie w rodzaju Stanów Zjednoczonych. Myśl tę rozwinął już Kant w swej pracy o „wiecznym pokoju“, a i obecnie ma ona bardzo wybitnych rzeczników. Rzecz oczywista, że w razie utworzenia z państw całego świata lub tylko Europy jednego wielkiego państwa związkowego, prawo międzynarodowe przestanie

istnieć ze wszystkimi swymi brakami, a miejsce jego zajmie prawo wewnętrzno-państwowe, które rozporządza już wszystkimi środkami przymusu, mogącemi, według mniemania zwolenników federacji ludów, zabezpieczyć zarówno jego byt własny, jak i prawa jego członków.

Przeciwnicy federacji państw nie podzielają wszakże wiary w jej gwarancje dla wolności narodów; przewidują możliwość supremacji silniejszych członków związku nad słabszymi, wytworzenie się jakiejś hegemonii, która unicestwić może zasadniczą ideę federacji, równouprawnienie narodów. Nie dość na tem. Zjednoczenie narodów w jednym nad-państwie, które narzucić musi wszystkim swym członkom pewne wspólne formy państwowe i wspólne normy prawne, stałoby się hamulcem dla rozwoju indywidualności narodowych, przeszkoda na drodze postępu ludzkości. Dlatego federacja nie jest, według bardzo wielu poważnych głosów, formą celową dla przyszłego pokojowego współzycia narodów.

Więcej gwarancji znalazłoby ono w udoskonaleniu prawa międzynarodowego, w oparciu stosunków pomiędzy ludami na jedynie słusznej „zasadzie narodowości“ w rozstrzyganiu sporów i zatargów między państwami przez sądy rozjemcze, o których mówi również i nota papieska, w utworzeniu międzynarodowego organu wykonawczego, któryby zawsze był gotów wystąpić przeciwko każdemu usiłowaniu pogwałcenia pokoju lub praw jakiegokolwiek narodu.

W kierunku takiej właśnie reformy współzycia narodów, w kierunku udoskonalenia prawa międzynarodowego, a nie jego unicestwienia, szły też konferencje haskie 1899 i 1907 r.; w tym kierunku pójdzie również zapewne rozwój stosunków międzynarodowych. Idea federacji spotkałaby się z silnym i uzasadnionym oporem, jako forma współzycia, nie dająca pożądaných gwarancji i zubożająca siły i środki ludzkości, przez ich niwelację.

Obok tych dwóch kierunków rozwiązania problemu „trwałego pokoju“, poważne miejsce zajmuje pogląd, nie sięgający może tak daleko w przeszłość, jak tamte, opierający się na realnym układzie stosunków obecnych, z którym wszakże liczyć się trzeba, tembardziej, że ma on tak poważnych przedstawicieli, jak prof. F. Liszt. Pogląd ten przewiduje utworzenie się, jak w tej wojnie, dwóch, trzech lub nawet pięciu olbrzymich bloków państw, których wzajemna rywalizacja utrzymywać będzie równowagę i

Posąg Sobieskiego w Szwajcjarji



Posąg ten powstał z inicjatywy Jana Pietrzyckiego i przy poparciu Muzeum Rapperswylskiego w Sali klasztornej Benedyktynów w Einsiedeln.

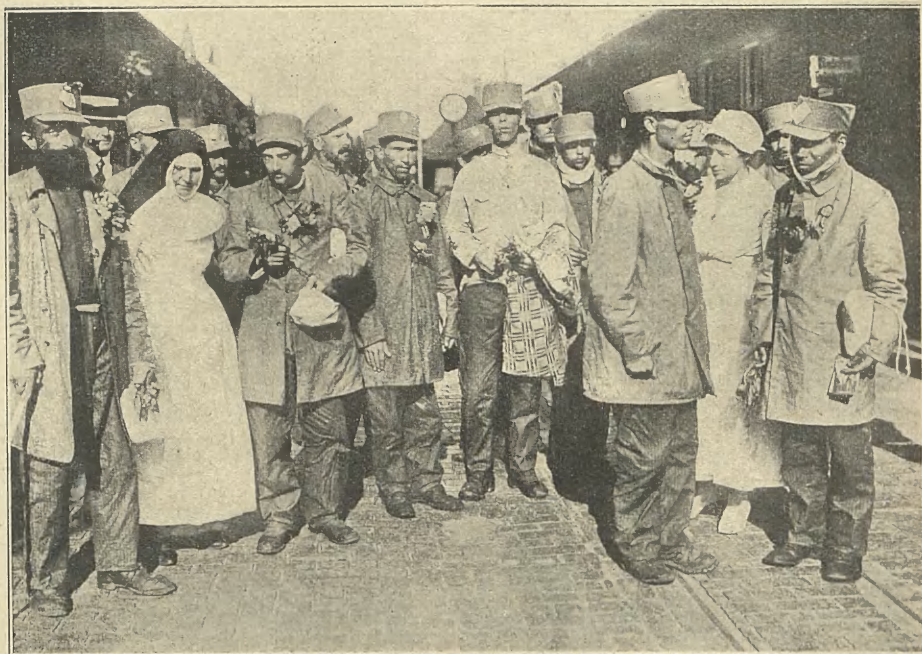


Działo nadbrzeżne niemieckie przy pracy na wybrzeżu Flandryjskiem.

pokój pomiędzy narodami. Pogląd ten stoi oczywiście na stanowisku siły, przewiduje najbliższy okres wojenny, do rozstrzygnięcia ostatecznego zagadnienia współżycia narodów. Pretensji sobie nie rości. W okresie przejściowym do wyższych form bytu narodów znajdzie on może urzeczywistnienie i ułatwi porozumienie. Pomiedzy kilku wielkimi grupami państw osiągnąć je łatwiej, niż pomiędzy kilkudziesięciu oddzielnymi państwami; i na takie porozumienie liczą zwolennicy utworzenia bloków państw.

*

Obok tych trzech zasadniczych kierunków rozwiązania problemu stosunków międzynarodowych, dość silny jest jeszcze prąd, któryby chciał utrzymać wszystko tak, jak było dotychczas, któryby chciał utrzymać wśród narodów *bellum omnium contra omnes*. Zdaje się wszakże, że prąd ten nie ma już widoków powodzenia. Ludzkość nie po to tyle krwi wylała i tyle ofiar poniosła, aby rozpocząć przygotowania do nowej, jeszcze większej katastrofy. W każdym razie stosunki mię-



Austro-węgierscy jeńcy wymienni w Sassnitz.

dzynarodowe ulegną przeobrażeniu, a te pójdą w jednym z trzech kierunków powyżej wskazanych.

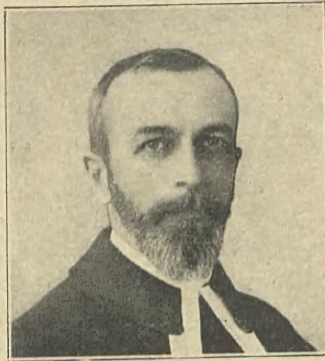
My ze swej strony pragniemy, aby poszły one po drodze

udoskonalenia prawa międzynarodowego, które jedynie zabezpieczyć może równouprawnienie i rozwój indywidualności narodów.

Józef Lange.



Ks. J. BURSCHÉ, superintendent generalny Zboru ewang. augsb. w Królestwie Polskiem.



Ks. A. LOTH, II pastor Zboru ewang.-augsb., obecnie przebywa w Rosji.

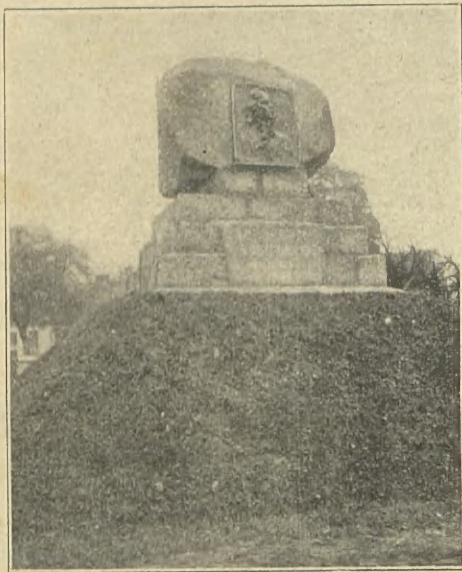


Ks. F. GLOEH, wikariusz Zboru ewangel.-augsb. i prefekt szkół w Warszawie.



Mec. LUDWIK RECZLERSKI, delegat Zboru ewangelicko-augsburskiego do Łodzi.

Poświęcenie pomnika Tadeusza Kościuszki w Chodczu.



Aktu poświęcenia dokonał ks. kan. Ziętkiewicz. Pomnik powstał dzięki inicjatywie burmistrza p. S. Borysowicza.



Uroczyste jubileuszowe posiedzenie w sali Zboru ewangelickiego. Za stołem przewodzącym siedzą pp. Geisler (przewodniczący), baron Dangel i sędzia Glass. Obok stołu stoją prof. Korzon, oparty na ramieniu red. Olchowicza. W pierwszym rzędzie siedzą prof. Mikułowski-Pomorski, prof. Dickstein, prezes Kiślański i inni. *Fot. M. Fuks.*

Muzeum pedagogiczne.



P. Borysowicz, burmistrz m. Chodcza, przemawia: „Chłop polski wie, komu pomniki stawiać”.



Obecni na uroczystości otwarcia Muzeum (od lewej ku prawej stronie) pp.: dyr. Leski, dyr. Departamentu wyznań i oświaty, Mikułowski-Pomorski, burmistrz Chmielewski, Anna Szyćówna, Gąsowski, prof. Korzon, prof. Dickstein, Chełmiński i inni. *Fot. Maryan Fuks.*



Msza polowa.



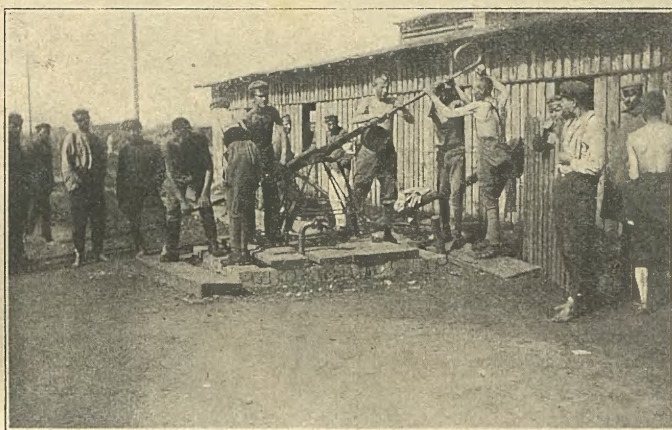
Oddział szpitalny.



Leguński bałagan.



Komitet przyjechał do Szczypiorny.



Na robocie: „Pompuj bracie, będziesz miał dolewki”.



Kuchnia.

W obozie jeńców w Szczypiornie pod Kaliszem znaleźli się ci żołnierze-legioniści, którzy nie chcieli składać przysięgi. Ogólna liczba przenosi zgórą trzy tysiące.

Dołą ich zajął się specjalny Komitet Kaliski i b. Tymczasowa Rada Stanu. Obecnie zjawilo się kilkuset chętnych do

złożenia przysięgi i ci po zaprzysiężeniu będą wcieleni w odpowiednie pułki.

Legioniści nie trawia marnie czasu w obozie. Założyli sobie uniwersytet ludowy. Uprawiają gimnastykę i sporty. Nastrój nie upadł. Wierzą oni święcie, że zostaną znów powołani pod swoje pułkowe sztandary przez rząd polski.

Odżywianie otrzymują żołnierskie. W sferze swojego pomieszczenia, w obozie legioniści posiadają zupełną wolność ruchów. Ostatnio uroczystie obchodzili jubileusz Kościuszki.



Teatry warszawskie.

TEATR W OGR. SASKIM. „Tancerka“, komedia w 3-ach aktach Lengyel'a.

Była sobie piękną „Tancerką“, zbierająca co wieczór oklaski w Music-hallach wielkich stolic europejskich i amerykańskich. Był sobie artysta-baletnik, dla owej primadonny układający tańce i kochający ją uczuciem głębszym i bezinteresownym, jako tę, która wciela najlepiej jego pomysły, nadaje im kształt i życie. I był sobie wreszcie młody szlachcic angielski, gardzący tingel-tanglem, rozmiłowany w sportach, niezbyt inteligentny, jeszcze mniej subtelny, ale zdrowy fizycznie i moralnie.

I oto „Tancerka“, znudzona i przesycona życiem cyganerii kabaretowej, oklaskami tłumów i szampanem w gronie wielbicieli i kolegów, pokochała młodego szlachcica. *Un coup de foudre!* Przyszedł, zobaczył, zwyciężył. Piękna dziewczyna rzuca Music-hall, artystę-baletnika, wielbicieli, kolegów i szampan, ucieka z młodym szlachcicem, odosabia się z nim w zapadłej wiosce, przez parę letnich miesięcy snuje namiętną siankę miłosną we dwoje. Lecz zjawiają się koledzy; dyrektor Music-hall'u błaga o powrót; kochanek rani okrutnie dumę. „Tancerka“ rozumie, że poemat został prześniony, że życie upomina się o swe prawa. I choć w głębi duszy coś się łamie w bólu i męce, „Tancerka“ ucieka od kochanka, wraca do świata wielkich afiszów, szminki, kulis i szampana. A gdy kochanek zjawia się, by ofiarować jej — za cenę błyskotliwego, gorączkowego życia — małżeństwo, „Tancerka“ już nie wierzy w możliwość wspólnego szczęścia. Choć nie przestała kochać, choć serce krwawi, — odmawia. Związek konika polnego z mrówką? Ogień i woda!

Oto treść sztuki Lengyel'a, której akcja rozgrywa się w Anglii, której opracowanie przecież ma wszystkie cechy węgierskiej twórczości: naiwność sentymentu, melodramatyczne ujęcie sytuacji, pobieżny rysunek figur — i niewątpliwą zręczność teatralną, poczucie efektów, temperament. Początek drugiego aktu zwłaszcza, tak jak go ułożył Lengyel, a jak z przyczyn od niej niezależnych nie mogła inscenizować

reżyserja warszawska, jest teatralnie nawet śmiały i oryginalny. Na trawniku przed dworem wiejskim leży jakiś wielki kłębek pledów i koców. Po chwili coś się w nim rusza, ze zwojów der wyziera ciemna główka młodej kobiety o rozrzuconych włosach, oczach zaspanych, ustach ciepłych jeszcze od pocałunków. Para kochanków w uściskach miłosnych pod rozgwieżdżonym niebem zapomniała o zwyczajach ludzkich, które każą noc spędzać w sypialniach, i za-



Gryficz-Mielewska w roli „Tancerki“.

śnęła w ogrodzie, przy muzyce słowików, pod ciemno-szafirowym stropem. Budzi ich słońce ranne, świergot ptaków, budzi do nowych pocałunków, do nowych pieszczot...

Sztuka Lengyel'a nie może mieć pretensji do literatury, ale jest widowiskiem wdzięcznym i zajmującym. Daje przytem doskonale pole do popisu dla trojga artystów. Tylko p. Gryficz-Mielewska umiała wyzyskać sposobność. Był to zarazem debiut uroczej i powabnej artystki na scenie Teatru Letniego. Choć temperament p. Mielewskiej zdaje się kierować ją raczej ku lekkiej komedji, postać kabaretowej tancerki, w jej interpretacji, była konsekwentna, pomyślana inteligentnie, odczuta dobrze. P. Mie-

lewska posiada niezwykle powabne warunki zewnętrzne, umie je wyzyskać przez stroje wyjątkowo piękne. Z pierwszego występu tego można mniemać, że p. Ludwik Sliwiński i tym razem miał szczęśliwą rękę. P. Mielewska będzie niechybnie jedną z najbardziej atrakcyjnych sił Teatru w Saskim Ogrodzie.

Sztukę wyreżyserował i wystawił nader starannie p. Marceł Trapczo, odtwarzający przytem doskonałe rolę dyrektora teatru. Obok p. Mielewskiej, ważniejsze role przypadły pp. Grabowskiemu, Kuncewiczowi, Knapczyńskiemu, Machenskiemu i Baumanowej, która dała interesującą sylwetę postarzałej artystki kabaretowej.

Należy jednak zwrócić uwagę dyrekcyj na lichy przekład. Złe tłumaczenie musi wpłynąć ujemnie na powodzenie sztuki. Czyżby się nie opłacało dawać egzemplarz do poprawienia, a nawet przerobienia wytrawnym literatom polskim? Z pewnością wydatek opłaciłby się sownie. W każdym razie tego rodzaju przekładów, jak „Tancerki“, nie godzi się kwalifikować na scenę.

S. K.

Nowy kinodramat.



P. Jerzowa Leszczyńska, artystka teatru Letniego, odniosła obecnie wielki sukces w nowym kinodramie oryginalnym p. t. „Sługi Caratu“.

Na widowni — z tygodnia.



Dr. MICHAELIS, po trzymiesięcznym urzędowaniu, opuścił stanowisko kanclerza.

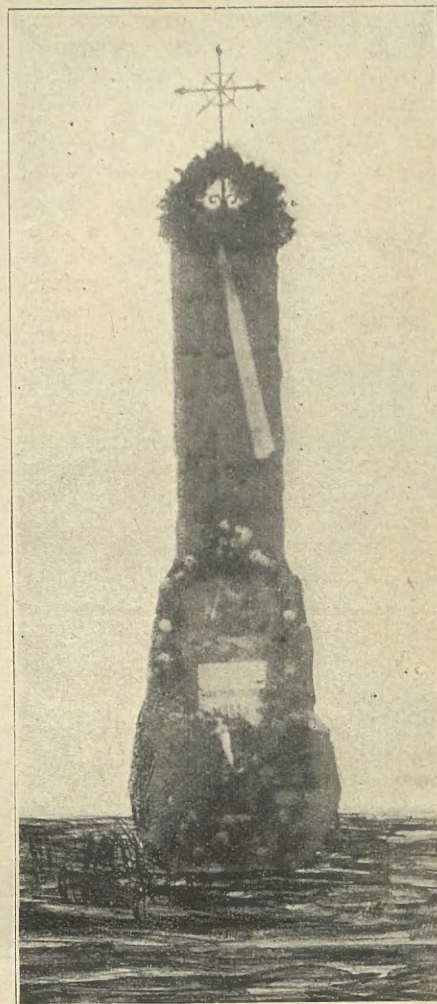


Generał piechoty OTTO v. BELOW, zwycięsko przeprowadził ofensywę państw Centralnych z Isonzo nad Tagliamento.



Gen. hr. CADORNA, dowódca wojsk włoskich, musiał opuścić pozycję nad Isonzo.

Pomnik poległym w 1863 roku w Puszczy Bolimowskiej.



Na poświęceniu do licznie zebranej ludności przemawiał rektor klasztoru miednickiego, ks. St. Nowakowski. Głównym inicjatorem i twórcą tej uroczystości był nadleśny lasów guzowskich, p. Nagabczyński.

Wzorowe Kuchnie Studenckie.



Dnia 4 b. m. została poświęcona przez ks. prałata Kuczyńskiego kuchnia wzorowa dla studentów naszej politechniki. Piękne pomieszczenie, urządzone specjalnie do tego celu ofiarował miastu znany filantrop warszawski, konsul perski p. Piotr Werthein (X). Prezesem tej instytucji jest p. W. Tarchalski. Grupa przedstawia uczestników uroczystości z Konsulową M. Rupuniewską i rektorem Patschkiem, prezesem sekcji Tanich Kuchen p. Stanisławem Hirszlem na czele.

Fot. Maryan Fuks.

Gniazdo sieroce w Teresinie.



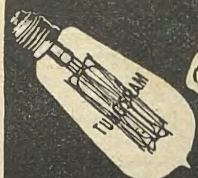
Grupa wychowalców, oraz opiekunowie p. Stachowiczowie z prezesową gniazda p. Brudzińską na czele.

Odpowiedzi redakcyi.

P. J. Tokarski. Nie możemy skorzystać z propozycji. Mamy tękę przepelnioną.

KAZIMIERZ TETMAJER Notatki literackie

Cena Mk. 3.—. 15040
Nakład Tow. Akc. S. Orgeibranda S-ów.



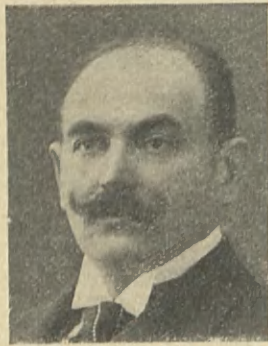
Tungsram

najtrwalsze lampki oszczędnościowe.

Jubileusz lekarza.

W dniu 27 z. m. upłynęło 25 lat pracy zawodowej lekarza-dentysty, p. Alberta Frejdkina, który jeden z pierwszych ten tytuł uzyskał zgodnie z ust. normalną.

Po ukończeniu gimnazjum jubilat wstąpił do instytutu przyrodniczo - leśniczego w Petersburgu, a następnie poświęcił się studjom dentystycznym. Jubilat opracował „I-ą Polską Tablicę poglądową dla szkół“, wydał własnym nakładem bro-



Albert Frejdkin.

szurę „Niezbędne wiadomości o zębach“, dla rozpowszechniania jej wśród młodzieży. W r. 1910 został zaliczony w poczet członków Międzynarodowego związku dentystycznego. Kilkakrotnie był powoływany na urząd Sekretarza Warsz. Tow. Odontologicznego. P. Frejdkin jest również jednym z założycieli Kasy Wzajemnej pomocy Odontologów Polskich; obecnie piastuje urząd wiceprezesa tej instytucji.

10423

Z kroniki towarzyskiej.

Dnia 15 b. miesiąca w kościele Św. Krzyża w Warszawie ks. Adam Pyzowski pobłogosławił związek małżeński między panną Jadwigą Czajkowską, córką ś. p. Stanisława i Karoliny z Suzinów, a p. Leonem Rembiszewskim, dr. praw, referentem Departamentu Sprawiedliwości.

Zmiana w kierownictwie „Nowej Gazety“.



St. Kempner.



Bohdan Straszewicz.

(Rys. Jerzy Szwajcer).



Loterja Klasowa Legionów Polskich

Warszawa, Trębacka Nr. 2.

Na 32,000 losów — 16,000 losów i 1 premja wygrywają razem

3 miliony 262,500 marek

Główne wygrane: 300.000, 200.000, 160.000, 130.000, 120.000 marek

Ciągnięcie trzeciej klasy 15 i 16 Listopada.

Wygrane 3-ej klasy: 35.000, 10.000, 5.000, 4.000, 3.000 marek i wiele innych.

Ćwiartka losu kosztuje w każdej klasie 6 mk. 25 fen.

Cały dochód z Loterji Legionów, której wygrane gwarantowane są przez **Bank Ziemiański w Warszawie**, przeznaczony jest na inwalidów, wdowy i sieroty legionowe oraz na weteranów z 1863 roku

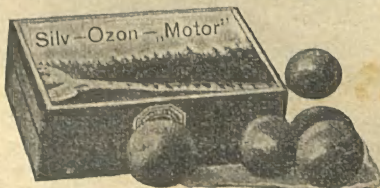
Losy do nabycia u kolektorów.

10427

Wymiana biletów II klasy na bilety III klasy powinna nastąpić u właściwych kolektorów do 11 b. m.

Silv — Oson — „Motor“

10200



w płynie i w postaci stałej w kapsułkach żelatynowych do przygotowania kąpieli balsamicznych.



PRACOWNIA
Krawiecko-Kuśnierska

Br. UNKIEWICZ

WARSZAWA
Hoża № 54.

Poleca: Palta, Okrycia, Kostiumy, Spódnice, Futra, Kołnierze, Mułki.

Wielki wybór — Najnowsze fasony.

10396



ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok IX.

Warszawa, dnia 10 listopada 1917 roku.

Nr 45.

G. DANIŁOWSKI.

Zamach na Skalkona.

Cały czwartek przeszedł w podnieconem oczekiwaniu; każdy turkot odległy, tentent daleki podrywał dziewczęta i rzucał do okien, gdzie dygocząc czekały.

Dzień miał — Skalkon nie przyjechał.

Zacząła je ogarniać desperacja, że wszystko na nic, że obrazonego konsula przeproszono listownie, że może otrzyma wizytę na Jasnej.

Harna czuła się zupełnie przybitą, Joasia niespokojna i trochę przynębiona, Laleczka nawet zaczynała tracić otuchę.

Słoneczne południe piątku poprawiło znacznie nastrój.

— Czuję, że dziś przyjedzie, balansując przed oknem, zapowiedziała Laleczka.

— Pewnie! — może wyjąć pudełko! — zaglądając do bomb w kominiku, zgadzała się wesoło Joasia.

— Czas, czas! — złowieszczę oponowała Harna, usiłując się zająć treścią jakiejś książki.

Zgadła. — Cichy zmierzch wsunął się w ulicę, mrok osiadał w kątach, a nikt nie nadjeżdżał.

Wieczorem zjawiał się Brunon. Był trochę mieswój, choć dowodził, że wszystko pójdzie dobrze. Sprawa musi wędrować przez Berlin, Petersburg, co wymaga czasu, zresztą gdyby ten sposób zawiódł, ma pomysł inny, którym sprowadzi stanowczo Skalkona. Potem opowiadał o rzeczach zupełnie postronnych tak zajmująco i miło, że się rozerwały dziewczęta. Od czasu do czasu, ale nie tak natarczywie, wtrącał swoje zna-

ne wskazówki, przyczem zalecał, by wychodząc nie ukrywały swego wzruszenia, radził nawet Joasi, by lamentowała na głos, zawodziła po chłopsku: o Jezu, Jezu! uderzając tym sposobem w ton, który będzie panował na ulicy, bo zrozumiał, że wspólne wzruszenie jednoczy ludzi, nastraja ku sobie życzliwie, a to znakomicie ułatwia sytuację. Wogóle Brunon ujawnił w całej akcji niepospolite znanstwo poruszeń duszy ludzkiej; wyratowanie dziewcząt o pierał całkowicie na psychologii chwili, którą stosownie do swych celów starał się urobić — i z talentem jasnowidza potrafił wyzyskać.

Obcowanie z Brunonem, posiadającym dar czarowania ludzi w sposób dziwnie uroczy i subtelny, orzeźwiło dziewczęta, które jak kwiaty po rosie przespały noc lekko, bez męczących widziadeł. Zbudził je ranelek mglisty, zniechęcający; potem przeleciała burza z ulewą; obiad przeszedł w ponurem milczeniu, z unikaniem własnych spojrzeń. Wreszcie dziewczęta się rozeszły: Laleczka do swoich tylnych okien, Joasia do sprzątań, Harna do książki.

Nagle uderzył w nie dziwny, szalony tentent, pośpieszne łomotanie licznych kopyt.

Harna zerwała się: pod oknem przemknął pędem oddział czerkiesów z otwartym powozem pośrodku. Zimny, wstrząsający dreszcz przepłynął wzdłuż ciała i siadła bezwiednie na krzesło.

— On! — postyszała jak z zaściany stłumiony głos Joasi.

I jednocześnie jakiś cichy, lecz dobitny głos zaczął jej podszeptywać, co czynić należy.

— Wyjm bomby! — Mała na poduszki, duża na okno! wata do uszu! Trucizna w kieszeń! Białą suknię na siebie! Boerski kapelusz na głowę! Otworzyć wszystkie drzwi! Zamknąć balkon!...

Momentalnie jak na komendę wykonywała wszystko. Gdy wyrzwała, Skalkon w płaszczu stał pod dziewiątym, kręciły się na miejscu rozgrzane konie, błyszczały patроны czerkiesów.

Wpadła w kapeluszu Laleczka: do widzenia — rzuciła — brama otwarta!

Stojąca przy swoim oknie Joasia zawołała: Wyjdziemy Harna, albo razem, albo wcale!

Potem umilkły, trzymając sztywno ręce na leżących na parapecie pudełkach. Gdy Harna podniosła je wyżej, zauważyła, że stojąca w jednej z bocznych bram grupa ciekawych schowała się szybko do środka, zatraskując furtkę...

W tym samym czasie powóz zawrócił.

Harna przestała oddychać, słysząc w sobie przejmujący szept: Gdy się zrówna z latarnią, z latarnią...

Powóz jechał wolno. Skalkon z adjutantem siedział swobodnie rozparty, wodząc spokojnie oczyma po domach i oknach. Zbliżając się do latarni, obrzucił jeneralskim wzrokiem białą postać Harny, i spojrzenia ich skrzyżowały się na moment... W tej chwili prawie bezwiednie całą siłą rąk dziewczyna rzuciła...

Porwało się wszystko w galop... Sekunda — i wstrząsający grzmot — wysoki słup ognia.

W strasznym poczuciu, że coś jest nie tak, jak powinno, Harna puściła jeszcze cegielkę.

— Suknia precz — wychodzić! —
rozkazał cudzy głos.

Posłuszna zdarła drżącymi rękami płaszcz, czarny kapelusz przemieniła na schodach i biegła na dół, słysząc obok chlapiący płacz Joasi.

W bramie rozstępująca się przed niemi grupa struchlałych czerkiesów.

Na ulicy jakaś dorożka...

Jedźcie duchem — nie dodając gdzie! — przez lzy zduszone słowa Joasi.

A obok, jak cień potworny, milja powóz: w nim błady adjutant i sztywny, jakby skamieniały, generał...

— Cały! Jezus Maria — cały! — w głos zaszlochała Joasia.

Przerażone spojrzenie dorożkarza! Gwałtowne ćwiczenie konia i jazda tuż za Skalfonem, a w czaszce bicie młotów: — Więc nic, nic, nic, nic!

Na rogu Alej tłum żołdactwa, grzmiące, urągliwe: hurra, hurra! witające ocalenie naczelnika. Jenerał się podnosi i salutuje.

Desperackie łkanie towarzyszyki i ołowiane: I nic, i nic, i nic...

Potem rozstanie bez słowa pożegnania ze spłakaną Joasią, upokorzenie, wstyd, zapiekłe uczucie winy... Winien był, jeżeli mówić można o winie, chemik.

Skutkiem wadliwej konstrukcji, z przyczyn niewiadomych bomba Harny, która miała rozszarpać konie i strzaskać powóz, nie wybuchła. Zacięte przez furmana i spłoszone konie poniosły gwałtownie, skutkiem czego bomba Joasi wybuchła z tyłu za daleko, powodując lekkie tylko ogłuszenie i pierzchnięcie konwoju. Drugi pocisk Harny spełnił jedynie przeznaczone mu przez Brunona zadanie — spotęgowanie popłochu i zamieszania, by umożliwić odwrót ostatecznie.

O rozmiarach paniki — może świadczyć fakt, że nikt z otoczenia Skalfona, nie mógł wskazać, skąd rzucono bomby, i lokal właściwy, gdzie znaleziono krwawy ekran z groźnymi inicjałami partji, był zrewidowany po innych. Żołnierze do tego stopnia potracili głowy, że przysięgali, iż nikt z pod trzynastego nie wyszedł, i stąd powstały legendy o ucieczce przez dach, o przebranym za kobietę mężczyźnie i t. p. plotki.

Zrujnowana głęboko Harna czuła się jednak do tego stopnia winną, że za nic nie chciała wyjeżdżać z Warszawy, by, jak się terminem myśliwskim wyrażała: „poprawić”. Oczywiście wywieziono ją niemal gwałtem w świat zabity deskami, i złożono, niby amazonkę ranną, w wysokie trawy, między polne kwiaty, na przytulną pierś matki-ziemi.

Tu nieme doby, przeleżane samotnie w rozkwitłych wrzosach, kształty przedziwnie nad głową płynących obłoków, strzępiaste przegony chmur, liljowe welony zmierzchu, złotolite zorze zachodu, skrzydlate balsamiczne wiatry i słodkie rosy goiły duszę, wtrącając ją w otchłań sennej zadumy.

W przelotnych chwilach przebudzenia, Harna doznawała wrażenia, jakoby załamała się nagle linja czasu, zmieniła kierunek, i gdzieś w bok mknące, przedzielone wiekami godziny oddalają się błyskawicznym pędem od tragicznego momentu. Odsuwała się szybko w błękitną, majaczną dal gorycz zawodu, wietrzył niedosyt braku materialnego skutku czynu, w który przelała wszystką krew młodości. Zaczynała się poezja wspomnień. Harnę udało mi się jedynie na moment spotkać. Widzenie nastąpiło w wiosce podgórskiej, w drewnianej izbie pachnącej sosną, przybranej w gałęzie świerków i duże osty.

W zmierzchu konającego dnia ujrzałem dziewczynę lat może dwiętnastu z otwartą twarzą, która sprawiała wrażenie jasności; w wymownych oczach tuła się szczytek zadawnionego smutku, za niemi czuwa ciekawa dusza! Sposób bycia prosty, w danej chwili nieco zażenowany rolą oglądanej.

Wiedziała, pocom przybył.

Nastąpiła kłopotliwa pauza, gdyż nie śmiałem wypytywać, bojąc się natrafić na bolesne miejsce. Zaczęła w końcu pierwsza: Takie to mi się wydaje dalekie i dawne, że ledwie pamiętam; a zresztą jestem już przecie inna, niż wtedy, relacje moje mogą być błędne, absolutnie niezgodne z



istotnym stanem tamtych uczuć i wrażeń. Niech więc pan polega na własnej intuicji...

Mówiła wolno, akcentując mocno wszystkie słowa, przez co wydają się nietyle dźwiękiem, ile realną emanacją tęgiej pracy umysłu.

— Tyle pani ma książek — zauważyłem, pragnąc zmienić temat.

— Uczę się, póki czas!

Gdy rzecz zaszła o tak zwanej „robocie“, uśmiechnęła się winowajczo. Obecnie jestem wycofana, zaczęła. — Patrząc na nią zdaleka, uznaję zawsze jej piękno — oby była zwycięską. Może kiedyś do niej wrócę, ale jak się całkowicie odbuduję własnymi siłami, wywabię wszystkie w sobie plamki, aby niepokalanie czystymi rękami wznosić jasny gmach przyszłości.

Wszedł ktoś. Pożegnaliśmy się...

Właściwe nazwisko Harny stało się szybko wiadome władzom rosyjskim. Harna zostawiła przez zapomnienie w mieszkaniu swój prawdziwy paszport, wydany na imię Wandy Krachelskiej, córki obywatela ziemskiego z Litwy. To też panna Krachelska nie czuła się bezpieczną w Galicji, dokąd wyjechała po zamachu. Szpicle rosyjscy deptali jej po piętach, a rząd domagał się wydania, wreszcie, gdy przez zamążpójście stała się obywatelką austriacką, odbył się na nią sąd przysięgłych w Wadowicach. Dzielna jej obrona sprawiła wrażenie. Krachelską została uniewinniona jednogłośnie.

Joasia — właściwe nazwisko Owczarkówna — w rok po zamachu została aresztowana i padła ofiarą szatańskiego podstępów: do celi zjawił się w cywilnym ubraniu żandarm i przedstawił się jako adwokat Patek, głośny obrońca więźniów politycznych. Zwiedziona Owczarkówna wypowiedziała się przed adwokatem ze swego współdziałania w zamachu. Karę śmierci zmieniono jej na dożywotnie więzienie. Obecnie rewolucja rosyjska przywróciła jej wolność. Nazwiska Laleczki nie udało mi się dowiedzieć. Kierownikiem i organizatorem zamachu był znany rewolucjonista, Mieczysław M., członek t. zw. wielkiego proletariatu, który po odbyciu szesnastu lat katorgi natychmiast po uwolnieniu zaciągnął się w szeregi organizacji bojowej, gdzie wraz z swym przyjacielem Mireckim odegrał niepospolitą rolę. Był on tym współwięźniem, z którym Mirecki wymienił ostatnie swe listy i któremu, już osadzony w t. zw. śmiertelnej celi, oddał ostatnią uścisk dłoni.

K O N I E C.

KARYERY.

53

Złoto w rękach pani Gizelę topiło się. Sprowadzała z Paryża tuzinami suknie, kapelusze, buciki. Wogóle miała pasję do tuzinów. Za tysiąc frankowe kapelusze u Reboux płaciła po dwa tysiące z firmowem zapewnieniem niszczenia modelu. Puszczone w świat duplikat jej kapelusza uchodziłby za karany sądownie plagiat. Oddawała swojej paninie służącej paryskie suknie, raz jeden noszone. Szczyciła się tem, że nie lubi brylantów. Obwieszała szyję i włosy jedynie perłami, wielkimi, jak orzechy laskowe. Brylantami zaś jedynie przystrajała kłamry swoich pasków i sprzączek u pantofli. Zdarzało jej się nieraz, że kreuzowską wille, opłaconą po bajońsku na cały sezon w Cannes — ze zmienionemi podług jej gustu obiciami ścian i mebli — porzuciła dla kaprysu dla jeszcze droższej rezydencji w Beaulieu, lub odwrotnie. Przytem zakupywała obrazy, rzeźby, brzozy, przestawiając i przerabiając ustawicznie salony swojej warszawskiej willi i w pałacu na wsi.

Wiedziała, że karjera jej jest już skończoną. Pomimo jej urody i młodości — nie poślakomi się nikt na taką zbytnice, o dożywotnim jedynie majątku, spadającym podług testamentu zapisodawcy wyłącznie na filantropję i na jego rodzinę; do tego na pół semitka, wdowa po świeżym dorobkiewiczu!

Zresztą nie chciało się jej ani myśleć, ani szukać kariery. Miała już jej po szyję. To raczej jej s. p. mąż zagustował w towarzyskim spobizmie. Ona nie miała już tych ambicji. Nie imponowały już jej znajomości, przyjazne i wielkoświatowe stosunki, któremi, zawdzięczając majątkowi ojca i koligacjom matki, raczyła się już od dziecka.

Pani Gizelę chodziło teraz o jedno: Chciała à tout prix bawić się. Uważała się za wykołejoną, która nie ma już nic do stracenia. Przestała dbać o opinię; jak gdyby zależało jej specjalnie uchodzić za gorszą, niż była w istocie.

— Jej salon jest faktycznie skandaliczny — obmawiały ją przyjaciółki.

— Moja droga. To nie jest salon; to jest gabinet restauracyjny. W jej buduarze podają szampańskie!

Po złożeniu wzajemnych oficjalnych wizyt — Irena z panią Gizią zaprzyjaźniły się. Łączyły te obie damy dużo cech wspólnych: Obie uważają się za wykołejone, bez żadnych widoków na lepszą przyszłość, z jedną manją używania i za każdą cenę karykaturalnego szczęścia.

— Nie wyrosłaś jeszcze, jak widzę — upominała Gizelę z powodu tej nowej przyjaźni jej kuzynka hrabina Sylwia — z pragnień posiadania w swoim salonie księżny!

— Oh! ça par exemple! Księżna Irena! — wstrząsnęła ramionami pani Gizela. — Ją można bardzo lubić, ale nie można już teraz nią się snobować! Zresztą nie jest już księżną, lecz tout court panią doktorową.

Irena znudzona wielkopańskimi manierami faktycznie polubiła dezynwolturę swojej nowej przyjaciółki, pod świeżym jeszcze urokiem dowcipu pani Gizeli.

Bawiły ją te papierosy, których pani Gizela z ust nie wyjmowała, choć się niemi krztusiła; i to zachowywanie się pani Gizi z mężczyznanami, to jej wieczne zakładanie nogi na nogę. Była bardzo zabawną.

Irena zagustowała w tej całej towarzyskiej dezynwolturze, jakiej nie widziała ani w wielkim świecie, w którym tyle przebywała, ani w półświecie, do którego sama za młodu należała.

Zaczęła naśladować baronową, przekonana, że ludzie, znudzeni jej królewskością — zaczną od niej uciekać — przeświadczona ostatecznie, że ten jej wielki ton nie jest wcale królewskością, lecz poprostu jej starością.

Choć z figielkami w rodzaju pani Gizi należy także mieć się na baczności! Przekonała się, że wielka pompa salonowych manier, zakrywająca delikatność zarówno uczuć, jak i umysłu — jest daleko łatwiejszą i wygodniejszą od swobody negliżu, w którym wszystkie wady wnet się uwidoczniają.

Strzegła się tego tem bardziej, że z powodu kilku jej już zbyt swawolnych bulwarowych wyrażen, skarciła ją aż nawet pani Gizia.

Lecz w każdym razie, zawdzięczając tej ożywczej znajomości, Ireną zbudziła się ze swego długotrwałego letargu. Zaczęła żyć.

Śród apatii ostatnich lat idealizowała teraz przeszłość, którą rada była zmyć z siebie. I ustępując prósbom sążnistych, błagalnych hymnów swojej niewolnicy miss Jackson — sprowadziła ją powrotnie do swego domu.

Pewnego razu śród załatwianych osobiście dla oszczędności zakupów deserowych słodczy poznała ze zdziwieniem we właścicielu nowej cukierni swego cudnego Umberta, który zatracił już wprawdzie wysmukłość Rzymian z Quo-Vadis w kinematografach (trochę się roztył), lecz nie przestały jeszcze błyszczyć jego piękne stalowe oczy na oliwkowej, nieco zbyt pełnej już twarzy.

Wygolony, ze swoim ładnym wykrojeniem ust, z rękami, już bez lokajskich białych rękawiczek, czarnymi i pulchnymi, obrośniętymi gestym, ciemnym włosem, z zapuszczonymi do pół policzków bączkami — przypominał teraz raczej pięknego torreadora.

— Tiens, tiens! — zadecydowała Irena.

A on widząc zachęcający uśmiech, jakim ładną jego postać obrzuciła, wyszedł z poza bufetu do jej stolika. Rozpoczął rozmowę z wielkim szacunkiem; wreszcie oparł się o krawędź jej krzesła.

Ku ogólnemu wstrząsaniu ramionami gości, znających z widzenia Irenę, zaczęli żarcikować i śmiać się, trzepiąc po włosku zbyt głośno i zbyt bez ceremonij. Wreszcie zdecydowali zakończyć rozmowę telefonicznie. Odtąd spotykały się ze sobą stale, dość często.

— Hélas! Je me suis declassé — skonstatowała ze smutkiem, powracając z tych schadzek.

Uważała się we własnej opinii za wykołejoną. Wobec czego nie chciało się jej dbać już nawet o pozory; lecz — przeciwnie — bawiło ją to, jak owego chłopaka, który na złość matce nie wzięł czapki, aby odmrozić sobie uszy.

— Jestem nędznicą. Więc cóż z tego? Drwię sobie z was wszystkich!

Nawet względem męża miała teraz wiecznie na ustach ów uśmiech prowokująco sarkastyczny, jak i tak często przyjmują zdradzające żony, zirytowane mężowską ślepotą, czy też tragicznie filozoficzną niemą ugodą rogacza.

— Nie domyślasz się niczego? Każde małe dziecko wie o tem, że ci przypinam rogi — kąsała go wyzywającym złym uśmiechem, jak gdyby czyniąc jedynie jego odpowiedzialnym za wszystko złe, co się stało.

Bojkotując ład życiowy, jakby z hasłem: „niech się wszystko zawali“ — zapuściła ze szczerem dom:

Spóźniała się na śniadania i obiady; zaprzestała kontrolować rachunki; nie wydawała żadnych dyspozycji rozpróżnionym służbie, doszczętnie zdemoralizowanej brakiem wszelkiego rygoru.

Całe mieszkankie było zapuszczone, zakurzone. Wiecznie pijany kucharz — nie zmieniał menu śniadań i obiadów, przesolonych, przepalonych lub niedogotowanych.

Po daremnym wyczekiwaniu żony — Horski zasiadał do stołu sam — nie w stanie przelknąć tych potraw. I zanurzał się, jak pijak w swoich zajęciach i lekarskich książkach — postarzały, poźółkły, zgarbiony.

W tem bankructwie życiowym Ireny tkwiła nietylko tragedia ostatniego już dzwonnka kolejowego, po którym — czuła to doskonale — młodość jej i piękność kurjerem odleci... Lecz główną osią jej czynów była — o dziwo! — chęć pastwienia się nad nim, nad swoim mężem, za jego spokój, za jego rezygnację w znoszeniu tej całej domowej anarchji, jaką z umysłu torturowała go w swojej nienawiści.

Tak, bo nienawidziła go z ową czysto kobiecą logiką i złością, z jaką każda żona w chwilach pogardy dla samej siebie czyni odpowiedzialnym za wszystkie, miedające jej zadowolenia — własne błędy i winy — jedynie męża.

— Ah! Ce fichu de Horski! — nazywała go tak w myślach stale — Il m'a gaché la vie!

— To — on, on powinien był chcieć i potrafić uczynić mnie tak szczęśliwą, abym nie potrzebowała szukać szczęścia w błocie. To on — powinien był mną kierować, dbać o mnie, pilnować; a nie dobrowolnie, ślepo, baranio nadstawiać głowę pod róg. Wiedział przecież, że nie kończyłam edukacji w Sacré-Coeur, Teraz dla własnej wygody udaje, że o niczem nie wie i unika skandalu z obawy zepsucia sobie regularnego trawienia. Ha, ha! Nie zależy mi wcale na dobrym stanie jego żołądka!

Zerwała się dziś nieco wcześniej, niż zwykle — uszczęśliwiona myślą opuszczenia na kilka godzin domu, który znienawidziła.

Uplanowały na dzisiaj ranny spacer do Łazienek, na który pani Gizela miała zjechać swoim ekwipażem po nią.

Postanowiono zabrać na ten spacer koszyczki z robótkami, ulubionego pinczerkę Blacka i dzienniki francuskie, naturalnie z Revue de deux

mondes na czele. Pismo, prenumerowane — jak wiadomo — przez arystokrację całej kuli ziemskiej i znane z tego, iż 99 setnych egzemplarzy całego nakładu — idzie stale na makulaturę z nierozciętemi przez arystokratycznych prenumeratorów kartkami.

Zabrano też i stryjeczną siostrę baronowej — hrabinę Sylwję. (Sylwja i Gizela! Plutokracja najwidoczniej lubuje się w takich pretensjonalnych imionach!) z Hochmundów Licką, najzabawniejszą według określenia przyjaciółek istotę pod słońcem.

Dowcipkowano o hrabinie złośliwie, iż, pomimo jej czterdziestki, do której — już dochodziła — znać po niej jeszcze dzisiaj, iż musiała być kiedyś bardzo... brzydką!

Faktycznie, wysoka, szczupła, miała rysy bardzo nieregularne: martwe, bez wyrazu oczy krótkowidza, doszczętnie zepsute wiecznym face à main, z którym nie rozstawiała się; przytem brzydkie i usta i nos i uszy; włosy rzadkie, cerę i cały wyraz twarzy — stałej kuracjuszki. Francensbađu.

Niezależnie od jej manieri bankierskiego weltschmenczu kobiety „nie zrozumianej“, hrabina uważała się słusznie z powodu swej roli rozwódki, czy też separatkki także za wykojejoną życiowo. Męża faktycznie bardzo nieudanego — musiała opuścić po tygodniowym pożyciu.

Zjechały przed Łazienką i wydały rozporządzenie pomagającemu im wysiąść z powozu lokajowi, który, zeskokczywszy z kozła — słuchał teraz z wygalonowanym cylindrem w rękę ich rozkazów: z pozostawionemi płaszczami miał czekać na nie przed bramą, a konie zatrzymają się przed cukiernią w Bagateli, do której po spacerze one pieszo się udadzą.

Rozmawiały ze sobą, jak zwykle, po francusku stylem, jak najmniej literackim, lubując się w wyrażeniach żargonu bulwarów, zapożyczzonego z „Claudiny“ Villego i z Gypa.

Teraz te trzy damy w jaknajlepszym pensjonarskim nastroju — suną w poszukiwaniu najustronniejszej ławki źle zwirowanej, alejami parku, jaknajdalej od tłumu i ucześniejących kwietników.

Hrabina Sylwja, najgorliwsza męczennica „ostatniego krzyku“ mody — potyka się dziś ustawicznie z powodu korków i bajecznych obcasów swoich lakierowanych pantofelków ku uciecze swoich towarzyszek. Cała w uwięzi krepujących ją pary-

skich gaz, koronek i muślinów — mylnie wyrokuje:

— Dawniej drogi tu były daleko lepiej utrzymane.

— Czy ty je pamiętasz, chérie, jeszcze z czasów Stanisława Augusta? — żarcikowała z niej ku uciecze Ireny baronowa.

— Dziwne! — odcięła się trochę zbyt ostro hrabina. — Tak wygląda, jak gdybym w Warszawie tylko ja jedna była stara.

Dzień niezwykle piękny, z szafirowem niebem, bez chmurki, cały skąpany w słońcu... I cudne Łazienki ze swemi bajeczną grupami drzew, ze szmaragdami polan i czarem opatynowanych przeszło stuleciemmostów, posagów i budynków — roztańczają swój wyjątkowy urok, jakim racza dusze i płuca przechodniów, upojonych nimi, jak nektarem.

Wynalazły wreszcie jedną z najmniej uczęszczanych alei nad stawem, tuż przy bramie, wychodzącej na ulicę Agrikoli. Gęsty szereg stuletnich drzew, ustawionych na samym brzeżku wody — jakimś cudem natury w tej niewygodnej pozie — zdaje się przypatrywać z lekka lustrze stawu.

Niektóre drzewa, jak gdyby z zaciekawienia wyginają głowy aż po nad wodę — wsłuchane w szepty ryb i łabędzi.

Damy rozgościły się na ławce. Pozdejmowały swoje ranne chapełre kapelusze (z wyjątkiem hrabiny Sylwji, nie mogącej rozstać się ze swemi piórami i wualką), wyjęły z torebek gazety i biskopceiki dla Blacka i dla co raz śmieiej zaprzyjaźnionych z niemi całych stad wróbli.

Ponad harmonijnemi arkadami mostu, w którym szła się zielonawe wody stawów — bieleje swoim barokiem dziwaczny nieco w proporcjach Sobieski, gniotący biednych Turków na naiwnie modelowanym koniku.

Jakżeż zmalala jego groza od czasów, kiedy utkwiał w twej dziecięcej wyobraźni! Dziś podobny do dużej grupy z biskwitu, żywcem zdjętej z pomiędzy dwóch świeczników, ustawionych na jakimś olbrzymim kominku!

Za ich plecami kapie się w słońcu gęsty las omszałego najcudniejszego w Europie parku łazienkowskiego. Śród zapuszczonych mechem trawników — grupują się cudnie kepty odwiecznych kasztanów ze swoją korą, pełną zmarszczek, rys i karbów, jak twarz starego człowieka; ze swemi liśćmi w kształcie wachlarzy

ciemno-zielonych, jak dno górskiego jeziora, prawie czarnych.

Tuż obok królewskiej gładko-kory dąb z jasno-zielonym szmaragdowym liściem, wyciętym w duże zęby... A owdzie lechtane wiatrem — szumią swojej dzwoneczkami listków stare lipy i cudnie jarzące białem srebrem brzozy...

Panie są w jak najlepszych humorach, rade z tego, iż czują się wśród piękna otaczającej natury pięknym sztafżem.

Faktycznie są estetyczne w swojej dezynwolturze high-life'u, w wytwornych strojach, z akcesorjami komfortu, z rasowym pieskiem i z wielkoświatową umiejętnością prowadzenia rozmowy o niczem.

Wyjęły swoje roboty z koszyczków.

Jedynie hrabina Sylwja, znała ogólnie z tego, iż nie potrafi sama drzwi zamknąć, ani wody nalać sobie z karafki — czyta swoją ulubioną książkę: „Romans ubogiego młodzieńca“ Feuilleta.

— Mon petit chat. Czemu ty jakiej dziecinnej, choćby najłatwiejszej robotki nie nauczysz się zamiast wiecznego wczuwanie się w tę starzyznę? — drażni ją baronowa, bawiąc tem Irenę, nie zblazowaną jeszcze na punkcie tych rodzinnych przekomarzań i zaśmiewającą się do łez z powodu maniery hrabiny Sylwji, wiecznie pochmurnej, mówiącej głosem osłabionym, bardzo dystygowanym, ogromnie zabawnym.

— Sądzę, że „Nasi Zięciowie“ powinni byli wyleczyć cię raz na zawsze z „miłości ubogich młodzieńców“.

— Trudno! Ty jesteś realistką; ja lubię poezję.

— Ja lubię poezję natury, poezję szczerości, prawdy; a u ciebie poezja jest synonimem kłamstwa.

— Synonimem ideałów.

— Niespełnionych. Znamy się na twoich gustach; kochałaś się wiecznie w Ernanim, Ruy Blasie, w panu de Camors i w księciu Prioli.

— Chciałabyś, abym się kochała, tak jak ty — we wszystkich barytonach i huzarach?

— Mais mon petit chat, ja się w nich nie kocham; ja się nim bawię.

— Znam się na takich zabawach.

— Wątpię, chyba z książek.

Roześmiały się obie z hrabiny Sylwji, zwanej ogólnie panną mężatką, ponieważ — podług twierdzenia jednych — rozstała się ze swoim mężem w kilka dni po ślubie z powodu brutalności małżonka; drudzy zaś

dowodzili, że z powodu jego zupełnego braku brutalności.

— Więc panj stanowczo woli — żarcikowała Irena z ową pogardliwą wyniosłością, z jaką bada się zwykle stare panny, tylko teoretycznie uświadomione — mężczyzn książkowych z bibuły, niż żywych? ce qu'elle vous ronchonne! — protestowała hrabina.

— Oh! là là; c'est du chich! tout,

— Ależ upewniam panią, że ona wszystkiego się brzydzi. Nie zdejmuję nigdy rękawiczek i dotyka się wszystkiego szczypczykami.

Dalszy ciąg nastąpi.



CHARAKTERY.

Sława.

Agnieszka jest sławną cudzoziemską artystką. Chora, szczupła i drobna, ma w spojrzeniu oczów urok odchodzącej już na zawsze młodości. Jej ruchy zachowały wdzięk tanagryjski, uśmiech jest subtelny i niezrozumiały, słowa skape i niegłośne.

Żyje sama w obcej, europejskiej stolicy, bez rodziny i bez przyjaciół. W świecie zjawia się nie często — i wówczas nie jest wcale smutna. Na szyi ma stare klejnoty, włosy uczesane gładko, a strój prosty i kosztowny.

Młode kobiety patrzają wiernie w jej oczy czarne, cudzoziemskie i tajemne. Zazdroszczą jej cudownego losu. Marzą o tryumfach i sławie. Wiedzą, że uwielbiali ją książęta świata, że głowy najdumniejsze pochylały się przed nią w hołdzie. Tym więcej podziwiają jej nieskażoną opinię i cnotę.

Podobno sama kochała kiedyś — gdy nie była jeszcze sławną. Ale gnana szaloną ambicją i głodem sztuki, ominęła niebaczenie wiosenne oferty życia. I teraz nie pora już wracać na tamte miejsca, gdzie może leżą jeszcze przy drodze zdeptane wtedy liście.

Agnieszka słucha komplementów i czeka końca wizyty. Później długo patrzy z balkonu w jasną ulicę południowego miasta — ona, której chore ciało nie zniosłoby już klimatu dalekiej ojczyzny. A widząc, jak młoda dziewczyna wita się z młodzieńcem, który jej oczekiwał przed wielką szybą magazynu, uśmiecha się z politowaniem.

Gdy zmierzchn ogarnia ulicę, Agnieszka wraca do dużego, ciemnego pokoju i siada przy fortepianie. Ale wieka nie otwiera, bo nie lubi muzyki i gra wówczas tylko, gdy przygotowuje się do koncertu. Siada, opiera czoło na dłoniach i myśli o koszu wielkim róż kremowych, który przysłała jej na koncert ostatni stara hrabina V., i o zaproszeniu na wieczór niedzielny do zamiejskiego pałacu arcyksięcia.

Z. Rygiel-Naikowska.

Vademecum dziennikarza

Historja Polski porobiorowej.

Dziennikarz musi pracować szybko. Odpowiednio do tego przygotowuje sobie warsztat pracy. Jego obowiązkiem jest umieć informować, musi więc sam posiadać w dużym stopniu umiejętność zdobywania potrzebnych wiadomości. Jak tego rodzaju metoda segregowania wiadomości wygląda — wykazuje obecnie wydany podręcznik, napisany przez p. Wincentego Kosiakiewicza, dyrektora Szkoły Dziennikarskiej.

Gromadził on przez cały szereg lat wiadomości, dotyczące życia polskiego, i notował, w jakiej formie załamuje się sprawa nasza na widowni życia europejskiego. Ludzie i dzieła interesowali go w równym stopniu. Nie był obojętny na zdobycze wiedzy. Zagadnienia polityczne, jak i estetyczne poruszały bardzo głęboko jego wrażliwość intelektualną.

Z notat tych powstała książka, wydana p. t. „Historja Polski porobiorowej“. Jest ona syntezą faktów i tylko faktów, ale tak zestawionych, że korzystać z nich może każdy praktycznie pracujący na wszelkim polu, świadomy obywatel Polski.

W. Kosiakiewicz podzielił „Historję Polski porobiorowej“ na 6 okresów, dodając „okres nowy“ od 1915 roku. Przy każdym z tych okresów daje ogólną charakterystykę ludzi oraz idei panujących, a później rok za rokiem krótko, lapidarnie informuje, co się stało i jak to zwiążek miało z życiem porobiorowej Polski. Co zdziałała polska praca, inteligencja i matchnienie — czytelnik otrzymuje jako wypadkową natychmiast, gdyż pochylona czcionka podkreśla nasz współdziałal w nurcie poczynali ogólnoludzkich.

Dla polityka, praktycznego ksiązka tego rodzaju może też być podręcznikiem użytecznym. Potrzebuje, przypuścmy, wiadomości o jakimś fakcie historycznym. Otrzymuje ją wnet wraz z charakterystyką ludzi, którzy ten fakt tworzyli i wywołali. Nie jest fakt ten przytem oderwany od podłoża. W. Kosiakiewicz daje bowiem jednocześnie wiadomość, co się wogóle w ów rok stało na widowni życia.

Jako przykład jędmnej charakterystyki niech posłużą słowa określające Bismarcka. P. W. Kosiakiewicz pisze:

„Otton Bismarck. 1815 — 1898. Jedyna w historii kombinacja genjuszu politycznego, woli i szczęścia,

które postawiło mu do gry miernych partnerów (Napoleona III, Górczakowa, Russela). Realista z szerokimi projektami, które tworzyły u powierzchniowych jego obserwatorów złudzenie, że z fantastą mają do czynienia. Napoleon III mówił o nim: „Il est fon“, Benedetti: „To manjak“. „W przeznaczeniu tego człowieka leżało, iż wezmą go poważnie dopiero w dniu, gdy stanie się groźnym“. Klaczko“ (str. 99).

Następnie, dając takie psychologiczne tło, wskazuje W. Kosiakiewicz wszystkie czyny polityczne żelaznego kanclerza. Rok za rokiem notuje on, jak politycznie pracował ten niemiecki mistrz dyplomacji. Bismarck przecieży „rozwiązał etyczny problemat w dyplomacji, mówiąc prawdę tak, że nikt jej nie wierzył“ (str. 102).

Doskonale też jest opracowany w książce Kosiakiewicza okres Wielkiej Emigracji (1831—1856). Rok za rokiem śledzimy, jak władze rosyjskie kładły na życie nasze żelazną obręcz przemocy, a na obczyźnie myśl polska wykuwała w trudzie i znoju ideję polskiej Niepodległości.

Książkę Kosiakiewicza zamyka wiadomość: „15.X, 1917 r. Ks. arc. Kakowski, ks. Lubomirski i hr. Ostrowski uznani, jako regenci“ (str. 184). Jest to więc podręcznik doprowadzony do ostatniej niemal chwili.

Pożyteczną też będzie „Historja Polskiej Porozbiorowej“ W. Kosiakiewicza również uczynym, literatom i

artystom. Znajdzie bowiem uczonego pod datą naprzykład:

1874. Wundt. Zasady psychologii fizjologicznej. Odkrycie Cantora, że „istnieje“ więcej liczb, niż nieskończoność. Mill „Trzy rozprawy contra racjonalistyczne“.

Literat pod tą datą otrzymuje wiadomości.

„Deudet „Przygody niezwykle Tartarina“. Zola rozpoczyna „Les Rougon Macquart“. Sardou „Wuj Sam“. Tolstoj „Anna Karenina“. „Kraj“ Gumpłowicza. „Porcje“ Tarnowskiego w „Przeglądzie Polskim“. Kraszewski „Hrabina Cosel“.

Polityk zaś dowie się: Gen. Kotzebue mianowany gen.-gubernatorem Królestwa Polskiego (już nie namiestnikiem). W Rosji projekt konstytucji Szuwałowa. Światowy kryzys pieniężny. Dizraeli prezesem gabinetu w Anglii. Imperjalista..“

Każdy rok posiada wyczerpujący obraz wydarzeń. Podane są te wiadomości z warcie, jędmnie — jako wskazówki służą wyśmienicie do szybkiej orientacji.

Zapewne podręcznik ten cieszyć się będzie zasłużonym powodzeniem. Duże bowiem oddaje usługi — jeżeli chodzi o informację natychmiastową, naprowadza też na drogę, skąd należy czerpać wiadomości bardziej wyczerpujące. W ręku dziennikarza, polityka, działacza społecznego jest książką bardzo pożyteczną i pożądaną.

F.

Bądź jak bądź, nie z ochoty, ale z musu musiała przesiadywać z założonemi rękami, więc lada szmer wyrywał ją z zadumy.. Ogród zaś rzadko kiedy był pusty.

Snuł się tam lekarz seraju, noszący przy sobie we dnie i w nocy puszkę z agatu, pełną maści, uzdrawiającej oczy. Sam mędrzec wszakże był ślepcem od dawna i nie mógł nigdzie krokiem stąpić bez przewodnika.. W hjacentach migały czasem jasno niebieskie kaftany ogrodników. Zazdrośnie przed spojrzeniem ludzkim osłonięte, Kadyny, wybranki sułtańskie, obnoszone w lektykach, przysłuchiwały się szeptom morza.. Niby groźny zwał skalny, piętrzył się w górę cały ów klasztor, rozkoszy ziemskiej poświęcony. Tylko najśmielsi z ludzi dostać się tu mogli.. Lecz i z tych, którzy owoców szczęśliwości dotknęli ustami, niejednen staczał się w przepaść, zbroczony własną krwią.

Jawory rozłożyste i dęby rzucały cień na zbrocze urwiska, norosłe gęstym kobiercem ziół i traw. W obrębie murów zewnętrznych i żywopłotów z wawrzynów spozierały na świat wązkie okienka haremu, z pnączem różanym i winnym na kratkach. Wyżej, nad ciżbą domów i zarośli, jak śnieg, bielity się w gaju cyprysów i pinii kioski z marmuru.. Stamtąd spoglądał syn słońca na mocarstwo swoje, spożywając sorbety z turkusowych czar.

— Słońce zachodzi — krzyknęła Światłość Gwiazdy Zarannej, pójdz ze mną na murawę.. O czym dumasz, siostró najmilsza?

— Prawie od roku nie słyszałam słowa bożego.. Coraz chłodniej.. Trzeba odnieść papugę do komnat, bo zziębnie biedactwo.

— Cóż może nas obchodzi obrzydliwy ptak! Chodź!.. Nikt nas nie ujrzy.. Daj rękę, siostró droga!

Nic nie odrzekłszy nawet, dźwignęła Głupia Szwedka ciężką klatkę i poczęła się wspinać po schodach, zciicha zrzędząc pod nosem. Z minaretów sofijskich rozległo się nawoływanie do modłów wieczornych.. Jasnówka kobieta szepnęła wówczas do siebie:

— Trzeba pilnować obowiązków, nie oglądając się na to, czy cie dozorca śledzi z za krzaku, czy nie.

Od tej pory pokazywała ludziom twarz chmurną i całkiem zamkniętą się w sobie. Drwiły z niej za plecami inne niewolnice, gdy się krzątała niestrudzenie po krętych wirydarzach i galerjach haremu, gdzie straż trzymają rzezańcy, zapatrzeni bezmyślnie w dalekie szczyty bithyn-

Werner v. Heidenstam.

Przekład St. Miłaszewskiego.

W SERAJU.

2

NOWELA.

Z twarzą markotną, nieruchoma jak kloc, godziny całe umiała Głupia Szwedka spędzać w samotności. Chętniej, niż z ludźmi, rozmawiała z papugą, ucząc sędziwe, z górą dziewięćdziesięcioletnie ptaszysko strzępków szwedzkiej mowy, rada usłyszeć choćby słowo w języku ojczystym.

— Powtórz wyraźnie: Andersson! — błagała tysiąc razy, lecz oprócz wrzasków szorstkich i mamrotów gardlanych nie doczekała się niczego od starej papugi.

Zniechęcona, przypatrywała się osłupiałym wzrokiem, jak się złocą latarnie na weneckich galarach.. Krążyły ponad niemi mewy krzykliwe; kajaki, jarzynami ładowne, snuły się chyżo po ciemno granatowych falach. Zagłę obwisłe schły ospale

na słońcu. Długie bandery muskały powierzchnię wód. Na rejach, jaśniejących w blasku zachodnim, przekomarzali się zgiełkliwie, okrętowi chłopcy.

Pierwszy raz w życiu zadumała się Szwedka nad swoją dolą i niedolą. Historia własnego życia wydała jej się tak niedorzeczna i błaha, że mogłaby gawędzić o tem chyba z nadwornym bajarzem sułtanka, wkładając garbusowi ukradkiem do feski pióra papuzie, bransolety i pestki granatu.. Nawet cień własny na mozaikach ławy wydał się jej czemś nie do wiary śmiesznem, czemś równie cudacznem i nie na swoim miejscu, jak, naprzykład, chłopka skrzyńca w grobowcu sułtana, albo lipowe chodaki w meczecie muzułmańskim.

skiego Olimpu. Maleńka Światłość Gwiazdy Zarannej przestała tulić się do niej po dawnemu.. Za to tańczyła i biegła po całych dniach, jak fryga, albo z ciemnego kąta wołała przekornie:

— Doglądaj sobie, pilnuj chorych ptaków!

Głupia Szwedka nie próbowała walczyć z losem. Tesknota i nadzieja zgola w niej obumarły. Ani się spodziewała, ani żądała, ażeby jutro przyniosło coś więcej, niż każdy z nich minionych. W milczeniu, choć ze zgorzeniem, patrzyła na obyczaje obcych ludzi, oddanych grzesznym uciechom. Chyba rozhovor ptasj mógł ją zachęcić do powiedzenia słów kilku. Troskliwością niezmierną otaczała papugę, która przeżyła dziewięciu sultanów. Bez końca czyścić mogła czarki alabastrowe i klatki... Czuwała nieraz po nocach nad schorzałym stworzeniem.

Wreszcie przekonał się harem, że Głupia Szwedka nie tylko ptactwu sprzyja... Kiedyś ocknęła się ze snu o północy, zgorączkowana i spragniona. Wody nie miała pod ręką, bo eunuch zaniedbał tym razem postawić czarki u wezglowia. Nie mając czem ust odwilżyć, wspominała, że deszcz nie padał od kilku tygodni, więc tulipanom przed kioskiem także chce się pić. Im więcej sama cierpiała, tem silniej odczuwała mękę kwiatów z posuchy i znoju... Żeby zaradzić złemu, zabrała wszystkie czary, jakie przy innych niewolnicach zdołała znaleźć po ciemku... Wyszła za próg..

Straże eunuchów schwytały ją, gdy podlewała tulipany... Z początku mniemali dozorca, że się wymknęła, aby kraść po nocy. Nazajutrz zawrzał harem od opowieści i plotek, ale sultanka okazała winowajczyni najmiłościwsze względy, powierzając jej w dowód ufności sakiewkę podręczną, którą dotychczas sama nosiła pod suknią.

Głupia Szwedka, zajęta od rana do nocy czyszczeniem klatek i naczyni papuzich, na wszelkie zapytania odpowiadała półgębkiem, jak z łaski. Żywsze wzruszenie zdradzała tylko wówczas, kiedy przypadkiem dostrzegła w oddali Nieuznanego Mesjasza, stojącego, swoim zwyczajem, na jednej nodze, jak zóraw, zasłuchanego w szum morza. Na całym ciełe drżała wtenczas z lęku.

Pewnego ranka ochmistrzyni haremowi wydała polecenie, ażeby klatki z ptactwem przenosić nad morze do wspaniałego Perikiosku. Tam również stawić się miała o zmierzchu Głupia Szwedka, odziana w co-

dzienną suknię roboczą z wielbłądziej sierści.

Zrzedząc swym obyczajem, spełniła polecenie wzorowo. O zmroku mnóstwo lampionów zajaśniało w tulipanowych zagonach.. Zdawać się mogło, że cały kwietnik sultański odgradził się od reszty świata różnobarwnym blaskiem. Głupia Szwedka włożyła nędzną koszulę, którą nosiła na tangu niewolnic, lecz nigdy w haremie.. W przedsieniach Perikiosku spotkała wszystkie tancerki sultanki, przybrane w cudne szaty srebrzyste, upstrzone tu i owdzie piórami papuziami. Prócz tego każdą z nich wieńczył djadem z zielonego puchu. W uroczem gronie niewieściami królowała krępa postać w okularach kwadratowych na nosie, dzierzżąca w rękę gruby zwój pergaminów. Była to ochmistrzyni, osoba z kunsztem pisarskim srode obznajmiona, Panegiryki okolicznościowe jej pióra sławiła cała stolica sultańska, włącznie z przedmieściami.

— Widzisz, moje dziecię — ozwalała się Safona, tancerka, przymocowując jako tako wianuszek z piór papuzich do rozwichrzonych warkoczy Głupiej Szwedki,—dziś, jak co roku, uczcić mamy dostojną sultankę zabawą, która się zowie „Uwieńczenie papuziego rodu“. Wszystkie mieszkanki haremowi biegle są w sztuce tanecznej.. Ty jedna pisać nie umiesz... Musisz więc stanąć pośrodku sali i naśladować rytmiczne poruszenia innych. Masz przytem nie oszczędzać ani twych długich ramion, ani ogromnych stóp.. Będzie to figiel jakich mało!

— Tak, tak! — zawtórowała Światłość Gwiazdy Zarannej, ukradkiem strojąc minki i przedrzeźniając ochmistrzynię, — będzie to figiel jakich mało, doprawdy!

— Co mi tam po tem! — odpowiedziała Głupia Szwedka. — Tańczą dziewczki i u nas, ale chrześcijańskim obyczajem. Trza się podeprzeć w boki, ot tak, wybić hołupca, ot tak... przyśpiwywać, ot tak: Parobczek hoży..

Gwałtem porwał którąś z niewolnic w ramiona i ięła huknąć tak ognieście po sali, że przerażonej ochmistrzyni okulary upadły na sam czubek nosa. Co tchu sięgnęła dygnitarka po znak widomy swej władzy, krótką pałeczkę, suto inkrustowaną, i uderzyła srebrną gałką w odrzwia, wołając z oburzeniem:

— Do komnaty sąsiedniej lada chwilą wejść może najjaśniejsza sultanka w orszaku przyjaciółek i eunuchów! Pisarz nadworny zasiadł już na swem miejscu, ażeby wciągnąć

do Księgi Wesela wydarzenia dziesięjsze! Oszalałaś chyba, dziewczyno, że się ośmielasz hece nieobyczajne wyprawiać! Twoje ruchy mogłyby ująć mułom, kaśanym przez pszczoły na pastwisku, ale nie tancerkom! Niema na świecie nic piękniejszego nad taniec! Zapamiętaj to sobie!

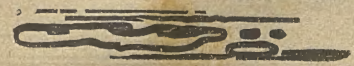
Zachichotały niewolnice, ustami, pełnem cukrowanych kasztanów i śliwek. Swawolniejsze tarzały się po kobiercach ze śmiechu. Nawet rzezańcy w progu szczerzyli białe zęby..

Głupia Szwedka straciła głowę.. Zgryzota, tłumiona miesiącamj w sercu, rozgorzała zniecka płomieniem wściekłości. Wartkim potokiem buchnęła z ust branki szorstką gwara ojczysta:

— Do stu piorunów siarczywych! Mało mi na was, djably tureckie, zależy... Tyle dbam o was, co o wicher w polu! Hulanki, sprośności, a grzechy ciągiem wam troją się po głowach. Od rana białego do nocy jazgoce to-to o dwunastu rozkoszach sultanowi na uciechę.. Ładne rozkosze, niech Pan Bóg zachowa! Albo plotą po kątach dziwy niestworzone o siedmiu Kadynach i zazdroszczą każdej dwustu jedwabnych płacht! Czy to uczciwy i rzetelny dom, gdzie w każdej izbie po kilka dziewczek sterczy? Wstydu nie macie wszystkie, ani za grosz, tłu!... Ze mnie uczciwa kobieta, ale wyście uczciwych nie oglądały dotychczas na oczy... Ugrzęźłyście po uszy w kałuży djabelskiej.. Musi wam Głupia Szwedka rzec słowa prawdy, do licha!

— Bardzo dobrze! — z namaszczaniem stwierdziła ochmistrzyni, bacznie śledząca każdy ruch dziewczyny, choć nie pojęła ani słowa z jej sierzdистой przemowy. — Jesteś nieoceniona, doprawdy! Tak samo właśnie masz miotać się i rzucać w kole tanecznem.. Tekst słowny za to radziłabym wypowiadać wolniej, zmniejszając głos cokolwiek. Niepotrzebnie odrzucasz przytem głowę w tył.. Nawet w cudactwie należy dbać o wdzięk! Tymczasem weź do ręki ten kosz. Jak widzisz, mieści się w nim krzew różany. Sam Nieuznany Mesjasz przyniósł nam przed godziną te kwiaty. Zręczny z niego ogrodnik, ani słowa! Po zakończeniu tańca wystąpisz naprzód i, przyklepnawszy, złożysz róże na stole z perłowej macicy przed klatką najstaszrej papugi.

Dokończenie nastąpi.



Geografia Ziemi Dawnej Polski.

Podręczniki rosyjskie nie zaznają miały wcale uczniów-Polaków z geografją Ziemi Dawnej Polski, lub też dawały informacje stronne, a często nawet mylne. Dla szerokiego więc ogółu inteligencji naszej był i jest niezbędny podręcznik, któryby służył naszym zadaniom i celom w stosunku do poznania ziemi rodzinnej.

Potrzebie tej zadość czyni obecnie p. A. Sujkowski, autor znany „Geografii Ekonomicznej”. Napisał on teraz „Geografję Ziemi Dawnej Polski”. Jest to podręcznik, przeznaczony tak dla nauczycieli szkół średnich, jak i dla tego grona inteligencji naszej, która chce i pragnie posiadać prawdziwe informacje o stosunkach i warunkach geograficznej egzystencji ziem dawnej Polski.

Autor tak samo, jak na wykładach, które miał dla kandydatów wyższej administracji, nie unika geologii, morfologii—stara się uczynić je zrozumiałymi, bo pisząc przy dzisiejszych metodach naukowych, pominąć geologii nie można.

Oprócz wiadomości o ziemi, jej kształtach i bogactwie, klimacie, szacie roślinnej i zwierzętach, p. A. Sujkowski interesuje się człowiekiem, to jest zagadnieniem antropogeografii.

Z założenia tego wynika, że wyjaśnia i stosunki gospodarcze, społeczne, polityczne, wskazuje na istotę kultury polskiej, określa jej poziom i rozpostarcie.

Podręcznik p. A. Sujkowskiego będzie trwałym nabytkiem naszego piśmiennictwa geograficznego. Książka ta jest bogato ilustrowana. Druk bardzo czytelny. Format duży...

Zapewne praca ta spotka się z życzliwym przyjęciem wszystkich tych, którym na sercu leży sprawa popularyzacji wiedzy o Polsce.

Szkola i charakter.

W literaturze pedagogicznej czasów obecnych Foersterowska „Szkola i charakter” zajmuje jedno z miejsc poczesnych. Przystojono rzecz tę w przekładzie p. M. Łopuszańskiej i opatrzone przedmową p. Anieli Szczyówny. Książka dr. Foerstera jest „przyczynkiem do pedagogiki posłuszeństwa i reformy karności w szkole”. Objawia wielki talent obserwatorski Foerstera i wykazuje przepiękny ton idealizmu w rozmyślnościach nad kształtowaniem duszy przyszłego obywatela.

Uczy on „życia bohatera”, chce wydosłać z miazmatów kłamstwa charakter, zaprawić pragnie do pracy i opancerzyć przed niepowodzeniem. Uważa przytem, że „karność i posłuszeństwo są przygotowaniem do swobody osobistości wewnętrznej”.

Książka ta powinna zainteresować rodziców i pedagogów. Jest świetnym materiałem do dyskusji nad kwestjami pedagogicznymi.

Wśród młodego pokolenia historyków polskich p. Wł. Dzwonkowski wyróżnia się temperamentem i zdolnościami pisarskimi. Obecnie napisał on „Ilustrowaną historię Polski”. Oparł ją na monografiach źródłowych i opatrzył bogato ilustracjami. Tom pierwszy wydawnictwa składa się z dwóch części: w pierwszym rozdziale ujęto „prahistorię ziem polskich”, „słowiańszczyznę pierwotną” i „początki kultury polskiej”. Obrona granic etnograficznych Polski piastowskiej jest tematem drugiego rozdziału. Książkę przeznaczono dla starszych uczniów. Jest ona bardzo pożyteczna dla szkół średnich. Materiał bowiem historyczny przedstawiony jest żywo, zajmująco, a nawet chwilami przykuwa uwagę, jak ciekawa powieść.

Pisma Adama Asnyka.

Zjawilo się wydanie zupełne pism Adama Asnyka. Układ i objaśnienia należą do pp. F. Hoiesicka i W. Prokescha. Wydanie to poprzedzono życiorysem i charakterystyką poety z kilkoma portretami. Tom pierwszy zawiera: „Wiersze różne”, „Kwiaty”, „Album pieśni”, „Z motywów ludowych” i „Mozajkę”. Tom drugi: „Sen grobów”, „Album pieśni” (II), „W Tatrach” i „Przekłady”. Tom trzeci: „Sonety”, „Wiersze różne” (II), „Z teki pośmiertnej” oraz „Lirykę patriotyczną i społeczną”.

Tom czwarty jeszcze nie wyszedł. Rozczytując się w poezjach, które znów rzucono na rynek księgarski, doznaje się niezwykle miłego wrażenia. Poezje te nie straciły nic ze swej świeżości. Potrącają o struny serca i wywołują zadumę. Liryka Asnyka posiada swoją samodzielną kartę i będzie zawsze pomnikiem swojego czasu. Kunszt słowa nie-skazitelnym musi bowiem zniewolić umysł wszechczasów. Nowa edycja pism A. Asnyka powinna się przyczynić do głębszego poznania źródła twórczości tego poety. Warto by też popracować nad spopularyzowaniem jaknajszerszym jego natchnień.

Pieńko.

Wojna młodego, zdolnego dziennikarza krakowskiego, p. Wacława Grabiańskiego, do napisania tomu szkiców nowelistycznych pt. „Pieńko”. Wszystkie te szkice zalecają się łatwością inwencji i dużym rozmachem narracyjnym. Stosunkowo najciekawszy jest „Przestępca”. Dużo dramatycznego wyrazu posiada obrazek pt. „Święty Boże Święty mocny”. Zapewne p. Grabiański przysporzy w Zespołności piśmiennictwu polskiemu nie jedną nowelę. Trzeba tylko, by rozmach służył do wypowiedzania więcej przemyślanych i lepiej zbudowanych tematów. Językiem polskim włada p. Grabiański już dziś dosyć sprawnie.

Kresy Rzeczypospolitej przechowały typy obyczajowo-kopalne. Takie ciotki, wujenki, panie pisarzowe, ekonomowe w Królestwie już inaczej wyglądają, już starły z siebie patynę charakterystyczną zaścianka. Często też zagubiły dosadny rysunek groteski zaledwie stać je na lekką karykaturę. Na Wołyniu i w Rusi zato znaczne te oblicza i serca pełne są takiej dosadności i jaskrawości, że kolekcjonowanie ich należało do rzeczy miłych, ale wcale nie trudnych.

Z bogatej skarbnicy tego rodzaju typów czerpie p. Eugenja Żmijewska natchnienie do swoich nowel i szkiców obrazkowych. Patrzy przytem na swoich bohaterów dosyć dobrotliwie, nie znęca się nad ich ułomnościami, gotowa jest nawet delikatnie wyśmiać literackie różne zakusy, niż instynkty mieszczańskie jakiegoś kupca wiktuałów kolonialnych.

Zbiór tych obrazków i nowel nosi tytuł „Książę Pan”. Tak też nazywa się czolowa nowela, rzecz zresztą dosyć interesująca przez utrwalenie rysów środowiska kresowego, polskiego. Wyśmiano tu jeszcze raz fałszywe apetyty dobrobieńcza na hrabski tytuł. Pokazano „prawdziwego” księcia, który zachowuje się poludzku, prosto, co znów też nie zawsze idzie w parze z miłą książeczą.

O wszystkich nowelach p. Żmijewskiej można powiedzieć, że poza obserwacyjnością nie wykraczają. Pisane są za to bardzo nierówno. Łatwy, gadałliwy język nie daje świeżych, mocnych konturów postaciom, jest echem rzeczy już widzianych i pokazanych. Stosunkowo najciekawszą rzeczą w nowelach p. Żmijewskiej jest „Lokatorka”. W psychologii tej postaci mieści się dużo prawdy. Cała zresztą ta postać jest najkonsekwentniej przemyślana i najgłębiej odczuta osobistością zbioru p. E. Żmijewskiej...

Książka p. Żmijewskiej może być czytana przez jaknajszersze koła. Napewno nikogo nie zgorszy, łatwa jest przytem w czytaniu.

Skaucci w obozie.

Biblioteka harcerska powiększyła się jeszcze o jeden wartościowy tomik. Pp. St. Rudnicki i Tadeusz Skotnicki opracowali bardzo interesujący przewodnik p. t. „Skaucci w Polsce”. Na całość złożyły się prace: „Gawędy o życiu na łonie natury”, „Obozownictwo”, „Obozy długotrwałe”, „Hygiena żywienia”, „Urządzenia w obozie”, „Ćwiczenia fizyczne w obozie” oraz „Wskazówki dotyczące pogody”.

Dla drużyn harcerskich książeczka ta jest bardzo pożytecznym nabytkiem.

